№ 45. Warszawa, dnia 26 Października (7 Listopada) 1874 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

DO........

Posyłając Mu piosnkę z legend współczesnych.

Gdy kmiotkowi Bóg da dziecię,
Wnet je niesie do plebana,
By je ochrzcił w Imię Pana!

A jam kmieć jest w pieśni świecie—
Każda pieśń ma, to me dziecię—
Z krwi i z kości mej dobyta,
Z głębi ducha wywołana,
I mojemi łzami zmyta,
I serdecznie ukochana!

Więc tę nową piosnkę moją,
Jak kmieć dziecię do plebana,
Dziś, przed myślą kładnę Twoją,
Byś ją uznał w Imię Pana!
Bo pieśń w Panu nieuznana,
Jak syk węża, jak zgrzyt wściekły,
Godna tylko potępienia—
Lub, jak wichru szum przewlekły,
Drży bez celu i znaczenia...
Gdy ją uznasz, niech w świat Boży,
Wejdzie moja piosnka — dziecię—
Mało szczęścia na tym świecie!
Ale życie mniej nas trwoży,
I swobodniej brzmi piosenka
Kiedy szczera, czysta ręka,
Krzyżem drogę w świat otworzy!

Z legend współczesnych.

Na brzegu rzeki, na złomie skały,
Czerniał zameczek odwieczny,
Znać że go silne ręce stawiały,
Gdy wieki przetrwał bezpieczny.

Wieżyce w niebo biegły wysoko,
Dach w lekkie zwoje się skręcał,
Piękność budowy nęciła oko,
Urok powagi przynęcał.

Lecz nędzny prawnuk, dzielnych naddziadów
Zmarnował imię i mienie,
W nieładzie wszystko znikło bez śladów,
Zniknęło nawet wspomnienie.

I stary zamek, kupił człek nowy,
Co dużo grosza nałowił,
I nie pojmując wdzięku budowy
Swoim ją gustem odnowił.

Z gzemsów wieżyce szczytne pozwalał,
Bo w niebo patrzył ze strachem,
Ściany kolorem żółtym powalał,
Zielonym przygniótł je dachem...

Te same skały, ta sama rzeka,
Lecz widok jakże odmienny!
Jaskrawą barwą gorszy zdaleka,
Potwór żelazno-kamienny.

* * *

Omszone mury, niech późne wnuki,
W posępnej uczczą ruinie,
Lub, niech je nowe pojęcie sztuki,
W piękniejszych kształtach rozwinie.

Lecz kto przedwieczną budowę skala
Bezbożną ręką, to zbrodnia,
Za którą karci, mianem Wandala,
Zranione serce przechodnia!

Jan Prusinowski.

POCZĄTEK SŁOWIAŃSZCZYZNY

według dokumentów zebranych i ułożonych

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

(Dalszy ciąg.)

W czasie tego pierwszego oporu zwycięzkiemu pochodowi orłów rzymskich na południu Europy, po za Karpatami ludność równie rolnicza jak Swewowie, również jak oni słowiańskiego pochodzenia a zowiąca się Dakami albo Geto-Dakami, zrzuciwszy z siebie jarzmo Gallo-Keltów, około roku 60 po Chrystusie pod dowództwem Berebisty założyła wielkie państwo Geto-Dackie. — Z dwóch więc stron dość odległych od siebie, Rzymianie znaleźli przeszkody, a że ich znosić nie przywykli, użyli względem Swewów dyplomacyi, a względem Geto-Dakom oręża, i jednych podstępem drugich przemocą pokonali.

Swewowie bowiem mając pod bokiem tak groźnego jak Rzymianie nieprzyjaciela, musieli być ciągle przygotowani do boju i mieć głównego dowódzcę nad swemi siłami zbrojnemi. Taki dowódzca w razie niezadowolenia ludu, nie łatwo dał się z władzy zyskanej wyzuwać i stawał się prawie królem.

Rzymianie też starali się intrygami siać między Swewami rozdwojenie, gdy jednych znakomitych mężów swewskich wynosili na monarchów, drugich dla siebie niedogodnych wyzuwali z władzy i ci wraz ze swymi poplecznikami opuszczali siedziby i przenosili się nad Dunaj dolny. Byli to powiększej części dzielniejsi duchem i zacniejsi pragnieniem ojczystego dobra, nic więc dziwnego że rzesza Swewska wyzuwana systematycznie intrygami rzymskiemi z obywateli lepszych, rozumniejszych i więcej przedsiębiorczych, coraz bardziej rozprzęgała się i w końcu przyszła do takiego poniżenia, że Rzymianie narzucali Swewom

królów z obcego rodu, którzy się kierowali wszystkiem według Rzymian woli. Najnienawistniejszym dla Swewów był niejaki Marobuda, który wypędzony wreszcie trzymany był przez Rzymian na uwięzi z wieczną pogróżką, że wypuszczony na wolność znowu panować będzie.

Jednocześnie z tą tragi-komedyą, jak nazywa postępowanie Rzymian ze Swewami p. Maciejowski, po za Karpatami między rokiem 103 a 118, toczyły się także boje Geto-Daków z Trajanem cesarzem rzymskim, nie mogącym ścierpieć według przyjętej polityki państwa sąsiedniego niepodległego jego władzy. Pokonani wreszcie Geto-Dakowie od najwyćwiczeńszego wówczas narodu w robieniu bronią, opuścili Dacyą i rozpłynęli się daleko po nad Wisłą ku Noteci a we wschodniej stronie rzeki Dniestru i Dniepru w górę aż do Połocka i dalej jeszcze sięgając. Oni to według niezbitych dowodów historycznych, przyczynili się głównie do rozprzestrzenienia w tych stronach słowiańskiej mowy, z której następnie wyłoniła się mowa polska i ruska. Mowa ta słowiańska według tychże dowodów będąc już jak na swój wiek dosyć wykształcona, popiera domysł, że przodkowie nasi z Azyi do Europy na kilka tysięcy lat przed Chrystusem przesiedlili się gdy z niej wynieśli zaród mowy, która się na pięćset lat przed Chrystusem według świadectwa Herodota, a w pierwszym wieku po Chrystusie rozwinęła znakomicie, jak tego dowodzą wyrazy botaniczne zebrane w tym czasie przez Dyoskorydesa, używane do dziś dnia z odpowiedniemi zmianami przez różne narzecza słowiańskie a mianowicie polskie i ruskie.

Że przybysze ci Geto-Dakowie byli jednego rodu z owemi Swewami między Łabą i Wisłą zamieszkałemi: dowodzi tego: jedno zamiłowanie rolnictwa a chwytanie się miecza nie dla zaboru, tylko jedynie we własnej obronie; zwyczaj wspólny farbowania ciała Dakom właściwy, i jeden układ społecznego porządku na gminie oparty.

Że zaś jedna nazwa przesiedleńcom tym wiekami od siebie rozdzielonym nie służyła, to łatwo wytłomaczyć nie przywiązywaniem zbyt wielkiego znaczenia do nazwy jaką przybierali według chwilowych okoliczności. Ludy te rolnicze wychodzące z Azyi miały jedno wspólne miano Aryów, w miarę zaś przesiedlania się do Europy ulegając przemocy różnych hord wojowniczych, nazywały się Scytami, Trakami, Dakami, Getami: ci zaś z nich którzy przylgnęli do nowego żywiołu, pozostawali w miejscu, zamiłowani zaś w rolnictwie szli dalej szukać nowych siedzib, i rozsypawszy się przy brzegach Elby, Dunaju, i Renu zwali się Polistami, utworzywszy zaś rzeszę potężną przezwali się Swewami jak to powyżej wyjaśniliśmy. Później zmuszone naciskiem potęgi Rzymian i różnych ludów ze Skandynawii przybyłych, a pod różnemi nazwami połączonych z resztkami Polistów Słowian w okolicy Dunaju i Renu pozostałemi, skupiwszy się między Łabą i Wisłą, zostali przezwani od ług czyli łęgowatych pól jakie zamieszkiwali Ligijami, czyli jak dziś mówimy Łużycanami. Ludy te jakkolwiek powstały ze zbiegowiska Aryów z różnych czasów i wieków, pomnażane ciągle nowymi przybyszamy z za Karpat idącymi a nawet Teutonami i Litwinami, ożywione jednak jednem pragnieniem, wyrobiły jeden charakter, jeden obyczaj w całej swej massie tworząc narodowość wybitnej różnicy od Teutonizmu.

Podobne zbiegowisko różnorodnej ludności powtarza się i za dni naszych w Ameryce: spieszą tam ludzie różni mową ale pobratani duchem przed poznaniem i zbliżeniem się do siebie, łatwo więc łącząc się tak się wzajemnie mieszają, że z upływem kilku pokoleń przybierają wszelkie cechy odznaczające głównie całą ludność już w miejscowych warunkach wyrobioną, i stają się Amerykanami. To samo działo się między zrzeszonemi Swewami: Słowianizm w niej górował, przybysze więc przemieniali się w Słowian zatracając nawet pamięć swego pochodzenia.

Przyngtą było rolnictwo i wewnętrzny porządek społeczny, a te dwa zamiłowania tak silnie w ludy te były wszczepione, tak odwieczny jeszcze z Azyi wyniesiony stanowiły charakter, że potomków ich dotąd nie opuściły narażając na jedne klęski przez jakie same przechodziły. Dla tego też u Słowian rolnictwo dotąd za najszlachetniejsze z zajęć ludzkich jest uważane, Teuton zaś czyli Niemiec nie dzieli tego przekonania, lubi rolnictwo ale mu nie nadaje tak przeważnego znaczenia: rolnika Słowianina nie wygnasz z roli przez niego uprawianej choćby najświetniejszemi widokami korzyści, Niemiec za najmniejszą nadzieją polepszenia swej doli pójdzie w świat daleki z największą łatwością: Słowianin rolnik ziemię przez siebie uprawianą nazywa ojcowizną, Teuton Niemiec ojczyzną mianuje państwo: ideą jego było zawsze zjednoczenie się pod jednym przewództwem z zaborem choćby świata całego; Słowianie zaboru nigdy nie znali, odzyskiwali tylko to co im zabrane zostało lub przyjmowali dobrowolnie garnące się do nich ludy. Dla nich wszelkie pragnienie, wszelkie idee przywiązane były do uprawianej przez nich ziemi, do jak najswobodniejszego z niej użytkowania, a jeżeli chwytali za miecz dzielnie się nim posługując, to tylko jako zmuszeni we własnej obronie nigdy w chęci rozszerzenia swych granic. Wybitne te cechy obu tych narodowości przechowały się aż dotąd, a jeżeli Teutonizm doprowadziły do większego znaczenia ze szkodą Słowiańszczyzny, to jedynie tylko dla tego, że wojactwo po dziś dzień jeszcze ma przewagę po nad innemi względami, ale to nie przesądza przyszłości. Jak zaś idea Słowiańszczyzny była silną od najdawniejszych czasów, jak stanowiła główną treść Polistów przesiedlających się najprzód z Azyi a później z za Karpat do środka Europy, najlepiej świadczyć może Szwajcarya, która niegdyś przesiąknięta temi przybyszami rolnikami choć przybyłą ludność połączyła z Teutonami, i od strony Niemiec nazywaną jest nawet niemiecką Szwajcaryą, jednak ludność ta dotąd dla tego jedynie nie daje zaginąć mowie swej zwanej plattdeutsch niezrozumianej dla Niemców, żeby ją właśnie za Niemców nie poczytywano. W prawdzie nie wie również o swym początku od Polistów Ariów, ale świadomość tego przez ciąg kilkudziesięciu wieków zaginąwszy nawet w tradycyi, zachowana została na kartach historyi i w niechęci do Teutonizmu.

Pobliska ludność nie należąca do Szwajcaryi także mowy plattdentsch używa, bo i to dawni Słowianie z Teutonami połączeni. Tacyt wreszcie wyliczając różne ludy do składu rzeszy Swewskiej należące, wymienia Helwekonów (Helveconas) którzy w małej nader liczbie musieli przybyć na Łużyckie posiadłości, skoro miano to wkrótce zupełnie zaginęło a lud używający go wsiąknął w ludność całej rzeszy Swewskiej.

Nie ma wątpliwości że nadszedł on z dzisiejszej Szwajcaryi, która musiała być Helwekonami przepełniona, skoro nadana jej nazwa Helwecyi do dziśdnia się utrzymuje.

Wreszcie że cała południowa strona dzisiejszych Niemiec przez Słowian głównie była zamieszkałą, że ci stanowili jej właściwych mieszkańców, i że Teutonowie tylko w stronie północnej przy brzegach morskich między Renem a Elbą, przemieszkiwali, najlepiej dowodzi wzajemna niechęć utrzymująca się dotąd między południowemi a północnemi Niemcami, która kto wie czy nawet świeżo utworzonego cesarstwa nie rozdzieli kiedyś na dwie połowy. Jeżeli ktoś zarzuci że religija jest tego powodem, to my odpowiemy, że właśnie ta niejedność w obrządku religijnym najlepiej świadczy o niejedności pochodzenia. Mowa nie ma tu żadnego znaczenia, bo jak pojedynczy ludzie tak i całe społeczności zmieniają ją nie przestając być tem czem byli.

Skłonności, usposobienia, pragnienia, te stanowią cechy narodowości a nie mowa. Można być z mowy Słowianinem a z usposobienia moralnego Teutonem i przeciwnie. Południowe też ludy Niemiec zawsze się tylko broniły przed napaścią, północne napadały: południowe zniemczywszy się zachowały plattdeustch, północne mówią najczystszą mową niemiecką. Południowe ludy Niemiec nigdy nie uprawiały polityki zaborczej, na północy zabór był jedynem zajęciem Teutonów; on to pod pozorem religijnego apostolstwa obudził pragnienie w krzyżakach zawładnienia ludami od Baltyku aż do morza Czarnego: on to kazał północnym Niemcom przystąpić do reformy, jedynie tylko w widokach wzmożenia się wojennego, on wreszcie nadając zawsze większą przewagę północy nad południem, z lennika zrobił samodzielnego, z margrabstwa królestwo a to cesarską odział purpurą.

Czem więc przed wiekami był Teutonizm tem pozostał, gdzie zamieszkiwał tam dotąd przebywa, tylko się rozrósł, rozszerzył, a dla idei swej zasadniczej znalazłszy nieprzepartą zawadę od wschodu, zwrócił się ku południowi i w imieniu jedności, przykuł do siebie ludy zupełnie obcego pochodzenia, pozornie tylko do niego zbliżone z cechami pobratymstwa z różnych jedynie okoliczności przybranemi.

O tej wybitnej różnicy północy od południa, wskazującej jasno gdzie przeważnie rozwinął się Teutonizm a gdzie połączył się ze Słowianizmem, moglibyśmy bardzo wiele powiedzieć, ale sądzimy że i to dostateczne, dla zrozumienia początku jednego i drugiego i siedzib które niegdyś ludy te zajmowały. O to nam głównie jak na dziś idzie, wracamy więc do dziejów Swewów występujących teraz pod nowem mianem od miejscowości zajmowanej przybranem.

Kiedy więc Ligijanie czyli Ligijskie ludy a jak dziś nazywamy Łużycanie, otrząsnęli się z pod przemocy Marobuda, zaczęły na nowo rozwijać polityczne swe życie. O ich mowie, ubiorze, i kapłaństwie kiedy jeszcze znani byli pod mianem Swewów, historya nic pewnego przytoczyć nie może, posiada tylko dowody jasne o rodzaju ich rolnictwa, prawach i porządku wewnętrznym.

Dowodom tym dajemy szczególny nacisk, gdyż historycy tak francuzcy jak niemieccy, nie znając różnicy jaka zachodziła między Germanami Swewami a Germanami nie Swewami, mówiąc o Germanach i nie wiedząc co jest jednych a co drugich cechą, wpadli w ostateczności, i gdy Guizot porównał ich z dziczą nowego świata, Jan Wilchelm Loebell przyznał im tak wielki rozwój cywilizacyi, jaką żaden ówczesny lud pochlubić się nie mógł. Ale oba byli w błędzie, Guizot ganił bo rozważał wiadomości historyczne o Germanach Teutonach, którzy rzeczywiście niezmiernie dzikiemi odznaczali się obyczajami: Loebell chwalił, bo patrzył na rolnictwo i porządek społeczny Germanów Swewów czyli Słowian, czem rzeczywiście górowali po nad innemi ludami.

One były celem ich życia a wojactwo tylko koniecznością, wywoływaną potrzebą chwilowej obrony: u German Teutonów wojaczka i zabór były celem życia, a rolnictwo tylko koniecznością o ile brak chleba codziennego tego wymagał. To też Germanie Swewowie czyli Słowianie, wyrabiali w sobie gminną formę zarządu, Teutonowie pod przewodnictwem jednego jako więcej odpowiednią ich wojowniczym skłonnościom: później u Teutonów wyrobił się feudalizm, u Słowian rzeczpospolita z Królem obieralnym, co zatem w starożytnej Germanji było dobrego to przedstawiali Swewowie, co dzikiego i wstrętnego Teutonowie. Że jednak prawo miecza czyli prawo siły

i dziś jeszcze ma przewagę, nic zatem dziwnego że w owych tak oddalonych wiekach, siła rej „wodziła i Słowianie do przybycia Rzymian po za Renem nawet w stu powiatach osiedleni, rozsypani po prawej jego stronie i przy źródłach Dunaju, naciskami ze wszystkich stron skupiali się, usuwali coraz dalej pozostawiając po za sobą mniej gorętszych zwolenników idei przez siebie uprawianej lub zabezpieczonych naturą miejscowości jak Szwajcarya.

Swewizm więc najczystszy że tak powiemy, przenosił się na owe łęgowate pola między Łabą i Wisłą rozłożone, Teutonizm jednak i tam nie dał mu spokoju, ale rojną tę rzeszę musiał szanować, bo zmuszona niebezpieczeństwem stała się wojowniczą i choć ciągle i później ustępowała ale każdy krok ustępstwa broniła zacięcie. Była to jakby przednia straż Słowianizmu aż po za Dnieprem osiadłego, Słowianizmu w tych stronach dopiero rozwijającego się, nie licznego, rozproszonego i przemieszkującego głównie w miejscach więcej dla rolnictwa dogodnego. Pomnażany ciągle przybyszami z za Karpat, zasilał się również wędrowcami z Łużycan, bo tych ciągle niepokoił Teutonizm i zniewalał do szukania spokojniejszej siedziby.

Pomiędzy Łużycanami w pierwszym wieku po Chrystusie jak to opisał Tacyt za przodowników imienia Swewskiego uważani byli Semnonowie czyli Ziemianie, dla tego tak zwani, że ziemie uważali za bóstwo i cześć jej religijną oddawali. Corocznie schodząc się z pokrewnemi sobie ludami na święte obrzędy, kończyli je poświęceniem człowieka na ofiarę bóstwu, który to obyczaj przynieśli z sobą z nad Dunaju z pod Scytów panowania. Zwyczaj ten barbarzyński zgodnie z twierdzeniem Tacyta dowodzi, że Ziemianie byli we wschodniej Germanji najstarszemi Polistami, i że nie przedstawiali wyższego stanu obywatelstwa, jak to utrzymują niektórzy historycy, tylko część ludu Swewskiego który ziemię jako bóstwo uważał. Obok Ziemian przeważne stanowisko zajmowały dwa ludy zwane Arii i Nahanarwali i te stały się protoplastami dzisiejszych Wielkopolan i Nadnarwlan Mazowszanami później nazwanych. U źródeł Wisły i Odry siedzieli Osowie, Marsyngnowie, Burowie i Gotynowie i ci złożyli się na utworzenie w XIII wieku, tak nazwanej Małopolski: Geto-Dakowie zaś na samym początku drugiego wieku po Chrystusie, uciekając przed zwycięzkim Trojanem i jarzmem rzymskiem, rozproszywszy się na całej przestrzeni między Wisłą a Dnieprem, stali się cementem zbliżającym całą ludność ku sobie z której następnie Ruś i Polska powstały.

Zanim to jednak nastąpiło zeszło blisko dziesiątek wieków, a ludy Słowiańskie po rozprzężeniu rzeszy Swewskiej, chociaż skupione między Łabą i Wisłą przybrawszy nazwę Łużycan, wolniej oddychać zaczęły: swobodą tą jednak nie długo się cieszyły.

Nalatywały bowiem na nich okruchy z ludów Słowiańskich które połączone z przybyszami ze Skandynawji przejęły się ich duchem wojactwa i zaboru. Najpierwszemi byli Wandalowie którzy w trzecim wieku po Chrystusie od źródeł rzeki Łaby rozpostarli swe panowanie aż po nad brzegami górnej Wisły. Dopełniwszy zdobyczy i wycisnąwszy z niej co się dało, wynieśli się nad górny Dunaj a od niego przeszli do Gallji, Hiszpanji i Afryki. Po ich wywędrowaniu posunęli się Gotowie, których z Getami Dakami nie należy łączyć i ci opanowali kraj cały od Bałtyku aż do Pilicy. Ślady panowania obu tych ludów w tych stronach, pozostały w nazwach osób i miejsc i jest to jedyna ważna dla historyi pozostała po Wandalach i Gotach pamiątka. Wisłę n. p. dawni kronikarze nazywali Wandalem, lud ją jednak zawsze Wisłą mianował, i od niej to mieszkańcy w okolicy jej ujścia osiedleni, wymienieni zostali po raz pierwszy przez jeografa Bawarskiego w końcu wieku IX pod mianem Wiślan. Dziś jeszcze mieszkańców powiśla Nadwiślakami mianują, tym bardziej też różne nazwy nadawano ludom w owym czasie żyjącym, którzy choć jednej narodowości żyjąc w rozproszeniu, musiały mieć oddzielne nazwy dla lepszego pomiędzy sobą porozumienia się.

Tym to sposobem Nadnarwlan ujarzmiwszy Gotowie przezwali Massa-Gotami, czyli mężami Gotów, gdyż *mass mąż* oznaczał. Później gdy panowanie Gotów skończyło się przybrali nazwę Mazowszan czyli mężów z pod jarzma niewoli wyswobodzonych.

Pomimo tych ciągle ponawianych napaści i wypierania z siedzib zajmowanych, Łużycanie urządzenia swego gminnego nie zmieniali i to narażało ich na klęski i prześladowanie. Bronili się wprawdzie jak mogli, ale nie mieli siły dostatecznej jaką zwykle jedność władzy nadaje. Do klęsk zaś tych przyczyniał się wielce brak zmysłu politycznego, pojęcia rozumnego, że żyjąc w rozproszeniu, nie łącząc się dla wspólnej obrony, łatwo częściowo pokonani zostaną. Wypływało to z usposobienia ich rolniczego przywiązującego pracą i spodziewanemi z niej owocami do miejsca. Gdy więc bliżsi Teutonów i ludów z połączenia z niemi powstałych, napaści ich mieczem odpierali, dalej mieszkający słysząc tylko z niewyraźnie dochodzących wieści o toczonych bójkach, do jakich wreszcie i przyzwyczaili się, przekładając spokój domowy nad wojacką włóczęgę, siedzieli przy rolach, z własną później szkodą poznając popełniony błąd obojętności. Błąd ten a raczej brak zmysłu politycznego nie opuszczał i później ludu zrosłego w jedną wielką społeczność. Cały przebieg dziejów poświadcza to jak najwyraźniej.

Kiedy to dzieje się w zachodniej stronie skupiającej się Słowiańszczyzny, tam daleko po nad Dnieprem we wschodniej jej stronie, równe niepokoje i napaści dotykały biednych Polistów Słowiańskich, którzy jak żyd wieczny tułacz nigdzie w spokoju długo zagościć nie mogli. Historya Abla rolnika prześladowanego przez Kaima pasterza, powtarza się ciągle bez żadnej przerwy.

Nad rzeką Wołgą i morzem Kaspijskiem, mieszkający lud pochodzenia Turańskiego, zależny od Bulgarów który zwabiony zapewne ich dobrobytem wyruszył nagle ze swych siedzib i pędząc tak w zwycięzkim pochodzie dotarł aż do Serbji i Węgier ujarzmiając wszystko co po drodze spotkał. Jak tam długo rozrządzali się w siedzibach Słowiańskich nie wiadomo, ale historya wymienia drugi lud równie Turańskiego pochodzenia, zwany Sweonami, który ów lud ujarzmił. Część z nich pozostała na miejscu, reszta zaś na północ wywędrowawszy osiadła w Szwecyi. Do wędrówki tej zwabiły ich widocznie ludy poprzednio naszłe do Skandynawji, pomiędzy któremi Normanowie czyli mężowie północni przeważne zajmowali stanowisko.

Tam to złączyli się z drugim ludem pobratymczym sobie Waregami i utworzyli nową nazwę Warago Rusów, a że Nowogrodzianie wraz z Finnami wspólnie z niemi mieszkającymi, wiele cierpieli od napaści ludów tych w Skandynawji osiadłych, pragnąc się przeto zabezpieczyć, Warago-Rusów pod dowództwem Ruryka i dwóch jego braci, obrali sobie za władców. Że jednak przybysze ci nie mogli się z sobą pogodzić, opuścili Nowogród kierując się ku południowi.

Jednocześnie owi Sweoni przesiedleni z nad Wołgi i morza Kaspijskiego, stawszy się przez podboje spadkobiercami chazarskiego władztwa i przez to między rokiem 839 a 862 bardzo spotężniwszy się, gród Kijów obrali sobie za główną siedzibę i postrach z niego na około roznosili.

(d. c. n).

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

Do niego zwrócił się brat Filip z życzeniem widzenia się z wielebnym ojcem przełożonym.

Wypowiedziawszy swą prośbę, zwrócił się ku drzwiom które same przed nim się otwarły i wszedł wraz z Anną, do wielkiej pustej izby na posłuchanie przeznaczonej.

Zaledwie usiedli, gdy drugie oszklone drzwi się otworzyły przed człowiekiem z włosami nisko ostrzyżonemi, ruchów powstrzymywanej żywości, cery śniadej, energicznego profilu. Zbliżył się do nich i na ich powitanie odpowiedział uśmiechem, którego słodycz łagodziła surowy charakter jego fizognomji.

Uścisnąwszy serdecznie rękę brata Filipa, zwrócił się ku Annie.

— Jeszcześ w Paryżu moje dziecię?—rzekł do niej po ojcowsku.

— Mój ojcze, to słowo odrazu wprowadza nas na przedmiot o którym przyszliśmy naradzić się z wami —odpowiedział brat Filip siadając na krześle.

— Tem lepiej! Lubię odrazu do rzeczy przystępować, lubię iść prosto do celu.—Czegoż żądacie odemnie?

— Mój ojcze—przemówiła Anna powoli—moi wujowie, jak wiecie, wezwali do pomocy przy doglądaniu swych rannych, kilka zakonnic z okolic Paryża, do których i ja się przyłączyłam. Najstraszniejsze obiegają pogłoski, i moi wujowie chcą zakonnice odesłać a i mnie także. Ale one się opierają temu, i ja się opieram.

Przełożony słuchał Anny z uwagą, i uśmiechający się wyraz jego fizognomji znikał powoli pod wyrazem powagi króra jej była właściwą.

— Są upory szlachetne, moje dziecię — rzekł on potrząsając głową.

— Wszak prawda, mój ojcze? a zresztą zdaje mi się że wujowie wyobrażają sobie niebezpieczeństwo większem niż ono być może.

Przełożony patrzył w niebo i milczał.

— W tem właśnie kwestya cała—rzekł brat Filip;—Anno przedstaw ją ojcu wyraźnie.

— Słyszycie, mój ojcze —powiedziała Anna;— ja w tem na sąd wasz zdać się żądałam. Dla mnie pierwszą jest rzeczą wiedzieć czy jest niebezpieczeństwo dla domów duchownych, niebezpieczeństwo rzeczywiste, bliskie.

Spojrzenie głębokie i smutne wielebnego ojca zwróciło się na Annę.

— Chcesz prawdy, moje dziecię?—zapytał.

— Pragnę jej, mój ojcze.

— Prawdy bezwzględnej?

— Tak jest.

— A więc jest niebezpieczeństwo rzeczywiste, bliskie.

Powiedział to obojętnie, lecz z tą intonacyą przenikającą, która mowie jego nadawała siłę miecza aż do wnętrza duszy sięgającego.

— A więc, radzicie nas odesłać ojcze? — rzekła Anna mocno poruszona.

— Radzę wysłać ciebie. Kwestya jest podwójną. Jesteś ty i zakonnice: Zakonnice są na swem stanowisku opatrznościowem, niechże na niem zostają; nie

są to istoty nieużyteczne, gęby nieużyteczne, jak mówią, bo ich usta się modlą, nie są i ręce nieużyteczne bo one leją balsam na rany cierpiących; lecz każda istota która nie jest konieczną w Paryżu, powinna go opuścić; w Paryżu okropności dziać się będą.

— Czy słyszysz Anno?—odezwał się brat Filip.

— Słyszę—odpowiedziała Anna zdająca się być przestraszoną;—lecz jeżeli tak rzeczy się mają, wszak i wy wyjedziecie, mój ojcze?

Przełożony podniósł głowę ruchem szczególnie energicznym, a jego twarz ogorzała, przybrała nagle wyraz majestatyczny i zarazem nieugięty.

— Ja zostaję—wyrzekł spokojnie.

— A drugim ucieczkę doradzacie, mój ojcze?

— Moje dziecię, ja radzę wyjazd i wysyłam wszystkich, których nie jest obowiązkiem narażać swe życie. Ten dom ma przełożonego, tym przełożonym ja jestem, a więc czekam.

— To i ja także czekać będę—odważnie zawołała Anna. Zresztą, niebezpieczeństwo jakie nam grozić może, niczem jest w porównaniu z waszem. Ktoby nas szukał w naszym oddalonym domku?

— Jesteście blisko dzielnicy Mouffetard — odpowiedział przełożony wracając do swej dawnej dobroduszności; — strzeżcie się haczyków panów gałganiarzy.

Anna się uśmiechnęła, a zwracając się do brata Filipa rzekła:

— Teraz twoja kolej, mój wuju, ja mam już moją radę, teraz proś dla siebie.

— Karol i ja, bardzo jesteśmy zmartwieni, mój ojcze — mówił brat Filip; — nasz biedny lokator, kapitan Michel, pokłócił się w kawiarni z jednym federalistą, o jakiś tam artykuł w gazecie; przyszli go aresztować pod pozorem jakiegoś niedorzecznego oskarżenia o szpiegostwo, i zaprowadzili do więzienia Maras. Co to biedne stare dziecko robić będzie w więzieniu? Ciężko się nacierpi, i przez swoją nierozwagę, ściągnie na siebie najsurowsze obejście. Chcielibyśmy jak najprędzej otrzymać jego uwolnienie.

— Macie słuszność—odpowiedział przełożony—spełniajmy nieustannie nasze posłannictwo apostolskie, i wyciągajmy innych z więzienia, dopóki sami tam się nie znajdziemy. Jakże myślicie wziąść się do tego.

— Właśnie oto zapytać się chciałem. Wszystko tak jest do góry nogami przewrócone, że jeśli są jeszcze aresztowania, nie ma jednak sprawiedliwości.

— Ponieważ teraz arbitralność rządzi, udajcie się do arbitralności. Tylko prawdopodobnie, nie znacie nikogo z teraźniejszych prawodawców.

— A wy ojcze?

— Ja znam niektórych — odpowiedział poważnie przełożony; — lecz jedno tylko zrobić mogę: przebaczyć im naprzód wszystko złe jakieby mi wyrządzić chcieli. Wszak to z dziennikarzem wasz kapitan się pokłócił?

— Tak jest.

— Wiesz jak się nazywa.

— Wiem.

— Udaj się do niego. Jeśli rzecz nie o księdza chodzi, bywa jeszcze u tych ludzi, częściej zaślepionych aniżeli złych, odbłyski sprawiedliwości i dobroci. Nie należy nic oszczędzać ażeby nie dopuścić niesprawiedliwości. Jeżeli będzie potrzeba, udajcie się do właściciela dziennika; on może nakłonić swego podwładnego do cofnięcia skargi, i tak wszystko skończyłoby się bez sądów i kłopotów.

— Duchem tego dziennika i właścicielem jego jest Pan Marcelli Drassart — w zamyśleniu odpowiedział brat Filip — od tego człowieka ja nic nie otrzymam.

— Możebym ja mogła to otrzymać? — z żywością Anna zawołała.

Staruszek pokiwał głową i rzekł.

— Niech mnie Bóg uchowa abym do takich ludzi ciebie miał posyłać, moje dziecię!

I wstając z miejsca swego, dodał zwracając się do przełożonego.

— Przyślę wam ojcze dokładne szczegóły o tej sprawie, skoro tylko je mieć będę, i gdybyście mogli nam dopomódz w wybawieniu naszego kapitana, bylibyśmy wam serdecznie obowiązani.

— Wszystko mój przyjacielu uczynię, aby tego niewinnego wydobyć z więzienia.

Przełożony umilkł, lecz po chwili dodał z uśmiechem:

— A może i mnie kto się odwdzięczy w podobny sposób. Brat Filip i Anna drgnęli pomimowolnie.

— Czyżby się ośmielili, mój Ojcze? — rzekła, Anna.

— Na wszystko się ośmielą. A więc wyjeżdżaj, moje dziecię.

— A więc zostaję; wszakże sam mówiłeś ojcze: nie jestem ani gębą niepotrzebną, bo się modlę; ani ręką niepotrzebną, bo naszych rannych opatruję i doglądam.

— Jesteś zacnem, poczciwem dzieckiem; miejmy więc ufność i odwagę! Bóg, Pan nasz miłosierny, niech cię błogosławi, jak ja cię błogosławię!

I o krok jeden się cofając, nakreślił w powietrzu szybko lecz z wielką powagą, znak krzyża nad pochylonem czołem Anny.

— Bądź zdrów, mój ojcze — rzekł brat Filip — dziękujemy ci.

— Bądźcie zdrowi, mój ojcze — powtórzyła Anna — jak zwykle tak i teraz dodaliście nam odwagi.

— Ja nic nie mam swego — odpowiedział z prostotą przełożony — daję to co gdzie indziej pożyczam.

— Wziął książkę którą miał pod ręką, otworzył ją i czytał głosem przejmującym.

„Przychodźcie do źródła, wy wszyscy którzy spragnieni jesteście, przychodźcie kupować bez pieniędzy i bez zamiany wino i mleko“

I zamknął brewiarz.

— Wino siły, a mleko łagodności — dodał.

A żegnając oboje przyjacielskiem skinieniem ręki, wyszedł z pokoju.

Anna i brat Filip wyszli na ulicę.

— Biedny mój kapitan zgubiony — szepnął brat Filip.

— Pozwól wuju, niech ja pójdę wstawić się za nim — rzekła Anna:

— Wstawić się, do kogo?

— Do pana Marcellego Drassart, wszak wiem dobrze.

— Nie, Henryk nie pochwaliłby tego. Nie wypada aby nasza gołąbka zbliżała się do tego sępa.

— Ależ mój wuju, mogłabym to uczynić za pośrednictwem panny Noémi. Nic mi nie przeszkadza pójść do Noémi. Uczynimy przynajmniej wszystko co będzie w naszej mocy.

— To myśl dobra — szepnął brat Filip.

— Wyborna, ale ją trzeba zaraz wykonać. Gdybym ja zaraz tam poszła.

Brat Filip rozglądał się po ulicy.

— Żadnego fiakra — rzekł — żadnego powozu.

— W każdym razie byłoby to zanadto po Wersalsku — odpowiedziała Anna z uśmiechem; — bezpieczniej będzie iść piechotą.

— Na ulicę Rivoli! Tak daleko moje dziecię?

— Ależ to wcale nie daleko, wujaszku.

— A więc chodźmy! — odpowiedział brat Filip.

— Czekają na ciebie o piątej, na ulicy Cuvier, mój wuju — powiedziała Anna — wiesz że tam koniecznie jesteś potrzebny. Ja pójdę sama, niczego się nie boję.

— To jeszcze nie dowodzi żeby nie było bać się czego.

— Idźże, idź mój wuju, w swoją stronę, zanadto stajesz się już ostrożnym, wierzaj mi, niech każde z nas swoim interesem się zajmie. Tyle, niestety! zewsząd nam teraz dają zatrudnienia, że nie możemy jednej rzeczy robić we dwoje. Do widzenia niedługo. Pomyślże o tym biednym kapitanie, który tyle nam był pomocnym przy naszych rannych. Mamy wszelkie prawo upomnić się o niego, chociaż by jako o pomocnika przy ambulansie. Wyrzucałabym sobie, gdybym nie użyła wszystkich środków aby go z więzienia uwolnić.

— Idź, idź moje dziecię — odpowiedział brat Filip, zwyciężony tem naleganiem; — idź, i niech Bóg cię prowadzi!

— Dziękuję ci mój wuju; oby twoje życzenie się spełniło. Na nieszczęście to nie Boga spotkać można teraz na ulicach Paryża, przeciwnie.

I Anna uśmiechając się do staruszka, odeszła szybko w stronę ulicy Rivoli.

XXVIII

MATKA I CÓRKA.

Godzina szósta biła na zegarze kościoła Saint-Germain-l' Auxercis, kiedy Anna stanęła przed domem zamieszkałym przez rodzinę Drassart. Wielki ruch panował na dziedzińcu i na schodach, i Anna poznała kilku ludzi ze służby, którzy zdawali się pełnić swą dawniejszą czynność, ale liberyę swoją zamienili na błyszczące mundury mniej więcej wojskowe. W przedpokoju, napotkała okazałego gwardzistę narodowego, pełniącego z dumą obowiązek kamerdynera, który dawniej spełniał z płaskiem nadskakiwaniem. Zaledwo raczył spojrzeć na Annę gdy ta go zapytała, czy może się widzieć z panną Drassart.

— Obywatelka Tullia Drassart bardzo jest zajęta — odpowiedział pompatycznie się nadymając; — i mam rozporządzenie nie przyjmowania do niej i do obywatela jej stryja nikogo, oprócz osób które w interesach wojskowych lub politycznych przychodzą.

— Właśnie o interesie politycznym mam z nią do pomówienia — rzekła Anna.

Federalista skłonił się i drzwi otworzył.

— Racz wejść obywatelko — rzekł uprzejmie — w tej chwili obywatelka Tullia daje posłuchanie lecz wkrótce przechodzić będzie przez mały salon.

Anna weszła do zbytkownie urządzonego małego saloniku, który zapamiętała i spokojnie w kącie sofy usiadła. Po krótkiej chwili, drzwi na lewo od niej będące, roztworzyły się nieśmiało, później więcej nieco aż nareszcie uchyliły się zupełnie i Anna spostrzegła Panią Drassart, w białym peniuarze i nocnym czepku.

— Czy to pani, panno Anno? —rzekła ona chwiejącym się krokiem zbliżając się do młodej dziewczyny.

— Ja sama, witam panią, — odpowiedziała Anna powstając i biorąc ją za rękę — tak wyraz niepokoju, cierpienia i przestrachu biednej kobiety litość jej wzbudziły.

— Ach! jakże widok pani mnie uspokaja! — rzekła Pani Drassart padając prawie na sofę— ci wszyscy ludzie w mundurach, te kobiety szalenie egzaltowane, wkrótce i mnie do waryacyi doprowadzą.

— Zdaje mi się, że rzeczywiście państwo macie bardzo czynny udział w tych nieszczęśliwych wypadkach — mówiła Anna bezwiednie głos zniżając.

Pani Drassart opuściła głowę na ręce wydając tylko jęk głuchy.

— Ach!— rzekła ona — ja chyba ciężko to przechoruję; mój mąż został tam prawie wciągniony, brat jego toż samo; lecz to Noémi nas gubi, Noémi mnie zabija! Gdyby nie ona, oddawna byłabym daleko od Paryża, gdziebym chciała nigdy już nie być.

— Biedna Noémi, odpowiedziała Anna z boleścią, tak się posunąć daleko, tak się gubić!

Panno Anno, ja nie wiem co ona zrobi— ciągnęła pani Drassart załamując ręce z rozpaczliwym ruchem — zupełnie głowę straciła od czasu tej nieszczęśliwej komuny; stryj i ojciec żadnego już na nią wpływu nie mają. Ci panowie przez jakiś czas wierzyli w prawdziwą i zupełną rewolucyę, a że byli w ścisłych stosunkach z niektórymi dziennikarzami mięszali się do wypadków, nie chąc się cofać, aniteż zbytecznie naprzód posuwać. Cokolwiek oni dotąd zrobili, pewną jestem, że zupełnie są gotowi odstąpić, porzucić tych ludzi; ale ona! ach ona! o! gdybyś ją pani widziała! Ona sama stanęła na czele ruchu, wciągnęła tych panów daleko dalej niż oni sami się spodziewali: stanowczo odmówiła wyjazdu z Paryża, słowem wszystkich nas martwi, a mnie po prostu zabija! Wszak słyszysz pani tych ludzi którym właśnie teraz daje posłuchanie? W tej chwili mój salon pełny jest tych federalistów uzbrojonych, których nie cierpię i których niewypowiedzianie się boję.

Głosy podniesione, głośne śmiechy, szczęk broni rzeczywiście dawały się słyszeć przez ściany przyległego pokoju.

— Słyszysz pani?—zawołała biedna kobieta przestraszone i gorączkowe oczy zwracając na Annę.

— Słyszę, i pojmuję boleść pani — odpowiedziała Anna.

— I przestrach mój; wszak prawda? Mówię ci panno Anno, że tych ludzi boję się najokropniej; bo wiem że do wszystkiego są zdolni!

— Więc jedź pani; dla czegoż pani nie wyjeżdża?

— Ach! wyjechać! — zawołała pani Drassart z żywością — tego jednego pragnę tylko.

Lecz natychmiast z wielką boleścią dodała:

— Ale córkę zostawić w mięszaną, oddaną podobnym sprawom, to niepodobna! Albo ją wywiozę z sobą, albo tu zostać muszę.

Anna uczuła litość niezmierną dla tej biednej istoty, którą macierzyńska miłość przywiązywała do pręgierza najsroższych niepokojów.

Nagle pani Drassart zadrżała i porywając się szybko z miejsca swego:

— Otóż i ona — zawołała z cicha; — nie trzeba aby widziała mnie płaczącą. Od pewnego czasu wszystkie przeciwności bardziej jeszcze ją rozdrażniają i do coraz większych ekscentryczności posuwają. Bądź zdrowa, panno Anno, nie wiem nawet pocoś tu przyszła; ale twój widok trochę ulgi mi przyniósł. Pani nie jesteś czerwoną, to jedno już mnie uspokaja. Bądź zdrowa; Noémi nic nie wspominaj o mnie.

Cicho się wysunęła małemi drzwiami na lewo w chwili, gdy Noémi gwałtownie pchnęła drzwi od głównego salonu.

Te szerokie drzwi roztwierając się przy sofie, zakryły w części Annę w kącie tej sofy siedzącą, i liczne towarzystwo przeszło koło niej nie widząc jej wcale. Wszystkie te osoby, w mundury przystrojone, rozprawiały głośno i zdawały się składać niby sztab jakiś.

Panna Noémi, bardzo dziwacznie ubrana, mająca przez ramie szarfę czerwoną srebrem haftowaną, a za skórzanym paskiem stalowemi ozdobami nabijanym pięknym kieszonkowy rewolwer, rzekła kilka słów a raczej wydała kilka rozkazów słusznemu i wysmukłemu blondynkowi, wygalonowanemu na szwach wszystkich, strojnemu i pyszniącemu się w jakimciś fantazyjnym mundurze.

— Bądź spokojną, mówił on do niej — ale niezapomnij kazać odwołać w dzienniku te wszystkie pogłoski o wyjeździe.

— Dziś właśnie mój stryj mówi o tej kwestyi —odpowiedziała Noémi— i pod przysięgą zobowiązuje się pozostać w Paryżu; tylko co poprawiałam korektę, artykuł jutro się ukaże.

— Tem lepiej, gdyż te pogłoski mogły wywołać niebezpieczne skutki; kiedym wychodził gromadziły się tłumy, chciano się przekonać o obecności pana Drassart.

— Noémi ścisnęła ramiona.

— Takie posądzenia niczem nie są usprawiedliwione — odpowiedziała — my jesteśmy ludźmi przy gotowanymi do tego aby zginąć lub zwyciężyć wraz ze sprawą którejśmy się oddali.

— My wszyscy na to gotowi jesteśmy. Do jutra obywatelko.

— Do jutra, generale!

Noémi i młodzieniaszek którego Anna z osłupieniem słyszała jak go tytułowano generałem, po męzku za ręce się uścisnęli; drzwi się zamknęły i Noémi odwracając się, naprzeciw Anny się znalazła.

Dumny uśmiech zaigrał na purpurowych ustach.

— Święta Anna!—zawołała ona—od pewnego czasu same dziwne zdarzają mi się niespodzianki, ale ta prawdziwie jest nie słychana. Święta Anna w zbuntowanym Paryżu! Święta Anna pomiędzy rewolucyonistami!

— I Święta Anna u obywatelki Tulji — dodała Anna uśmiechając się.

— Tak! — zawołała Noémi rozwijając poły swej czerwonej szarfy — Francya cała pójdzie za nami!

— Oby Bóg dał żeby za wami nie poszła!— mimowolnie wykrzyknęła Anna.

Czarne brwi panny Noémi tak się ściągnęły nad jej ognistemi oczyma, że aż się skrzyżowały prawie.

— Sądzę, że nie dla tego przyszłaś pani do mnie ażeby miotać obelgi na naszą szczytną rewolucyę Paryzką? — rzekła głosem wyniosłym.

Anna westchnęła, przywołana temi słowy do przedmiotu wizyty swojej.

— Nie—odpowiedziała—przyszłam tu z obowiązku ludzkości. Bardzo zacny człowiek, a nasz dobry znajomy, kapitan Michél, pokłócił się w kawiarni z jednym z redaktorów dziennika stryja pani. Kazano go przyaresztować i posadzono w Mazas, na mocy jakiegoś niedorzecznego oskarżenia o zdradę.

— Czybyś pani w tych czasach, próbowała wydrzeć nam niebezpiecznego nieprzyjaciela?— rzekła Noémi ostro patrząc w oczy Annie.

Anna się uśmiechnęła.

— Wcale nie — odpowiedziała—przychodzę tylko zaprotestować przeciw nieprawnej, arbitralnej aresztacyi; przychodzę próbować czy mi się nie uda uchronić od niewygód więziennych, starca chorowitego i z pewnością nieszkodliwego.

— Lecz który podziela wasze zdania?

— Który nienawidzi buntu, prawda — nieustraszenie odpowiedziała Anna—lecz który na nieszczęście, niezdolny jest walczyć przeciwko niemu.

— W każdym razie to nieprzyjaciel — gwałtownie zawołała Noémi.

— Wszak to mówiłam: nieprzyjaciel, zapewne; ale jego wiek i ułomności nie dozwalają mu być przeciwnikiem. Jego aresztować, taż sama zupełnie była by przyczyna co i mnie naprzykład, a pani, sądzę, że wcale nie myśli o tem?

d. c. n.

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Dowiedziawszy się iż udaję się dalej na zachód i zamierzam zwiedzić Niagarę, pochwalił mój zamiar twierdząc, iż korzyści materyalne daleko większe na zachodzie. Niagarę liczy pomiędzy swe *pia desideria*, lecz stan zdrowia i brak czasu wzbrania mu ujrzeć ten cud przyrody.

Słuchając o mych włóczęgach po spiekłych pustyniach Australii, morzach szerokich i lodowcach Alp, zapłonął na chwilę ogniem młodości. I w nim znać tkwi owa żyłka nagląca ludzi zresztą rozsądnych do niedbania o niebezpieczeństwa i trudy, byleby ujrzeć jak najwięcej Bożego świata. Gdyby nie żona kochana i dziatwa, kto wie czy i on nie wybrałby się w pogoń za Liwingstonem, lub przynajmniej nie wszedł na jakie Fidżi by pomagać przy koronacyi króla.

Jak tyle osób pokochanych w krótkim czasie, tak i jego musiałem pożegnać z bólem serca, na wieki może. Ja, błędna owca nie mająca własnego zakąta, ani węzła wiążącego mnie do jednego miejsca, muszę ruszać dalej; on choć pod skromnym dachem lecz otoczony gromadką kochaną, pozostał w Jersey City.

Podróżowanie ma wiele przyjemności. Ciągle poznajemy coraz to nowe, coraz piękniejsze dzieła Boże i utwory ludzkie, coraz bardziej rozszerza się znajomość charakterów, gdy najrozmaitsze postacie przesuwają się bezustannie przed oczyma.

Lecz cóż w życiu ludzkiem jest bez goryczy, często zbyt sowicie karzącej za słodycz wychylonego kielicha. W podróżach taką goryczą są chwile żegnania przyjaciół.

Serce włóczęgi łatwiej i szybciej skłania się do przyjaźni jak serce ludzi osiadłych. Ciągły pobyt pomiędzy obcemi i nie troszczącemi się o los jego osobami, każe mu lgnąć do każdego kto mu okaże przychylność. Ledwie jednak węzeł zaufania i sympatyi złączył go z drugą osobą, już konieczność każe zrywać przyjaźń nową.

Jak Was w Szwajcaryi, tak pana H. w Nowym Yorku, nauczyłem się tylko po to kochać, by uczuć ból rozstania przy wyjeździe. Szczęściem coraz bardziej starzeje się człowiek i coraz mniej skłonny do nowych znajomości, coraz więc rzadziej wydarzają się bóle tego rodzaju. Zwolna zamrze drażliwość, tylko pamięć słodkich chwil spędzonych z Wami i z nim pozostanie w umyśle i będzie miłem źródłem do dumań w samotnych włóczęgach, po borach lub morzach.

A czasem listy od Was i innych nielicznych przyjaciół, przechowywane skrzętniej nawet jak drobna sumka z której czerpię me utrzymanie w obczyźnie, czytane przy świetle obozowego ognia lub lampy kołyszącej się za każdym ruchem statku, odświeżą Wasz obraz w mej myśli.

Cenny to skarb te rzadkie listy które odszukują włóczęgę nawet w odludnych miejscach, i później tworzą całą jego czytelnię. Rozkosz wspomnień i boleść wspomnień wieje z tych zżółkłych listków, tych niemych a wymownych świadków lat upłynionych. Czyż przerzucanie tych starych świstków, odczytywanie tych liter wybladłych, nie odżywia dawno zapomnianych uciech, nie każe czuć po raz wtóry dawno zamarłych bólów. Zmienne koleje

losu, dni raz ozłocone blaskiem uśmiechającego się szczęścia lub zasępione burzami, znów przesuwają się przed okiem duszy, to brzmienne weselem to kirem żałobnym pokryte. Lecz za każdym powtórnem odczytywaniem tych listów, czytamy je z umysłem doświadczeńszym, i bezstronniejszym. Postacie osób które je kreśliły coraz czystsze i bardziej duchowe, coraz mniej ich strony ujemne wspominamy, coraz czulej rozpamiętywamy ich zalety. Nowi nasi przyjaciele karleją przed temi druhami przeszłości, bez wad, bez owych drobnych usterków które często zaszczepiają niechęć ku ludziom z którymi musimy obcować.

Wielki to więc skarb te listy rzadko odbierane i starannie przechowywane, którymi krzepię duszę tęskniącą za obliczami znajomymi.

Lecz po cóż przenoszę zwierzenia osobiste na papier, gdy Wy i czytelnik żądacie opisów miejsc i ludzi? Wy chcecie pewno słyszeć o Ameryce a nie o mnie; mało Was obchodzi co czuje i myśli bazgrzący włóczęga, byleby Wam opisał miejsca do których go zagnały los lub dziwactwo. Wiem ja o tem, a przecież nie mogę się powstrzymać czasami by nie powtórzyć Wam wieczornych dumań i snów na jawie. Drogie to chwile i droga każda myśl wysnuta w rzadkich godzinach, w których mi wolno usiąść na uboczu i marzyć o Was bracia, lub chwyciwszy pióro posłać Wam kilka słów w dowód iż gdziekolwiek jestem zawsze zostaję kością z Waszej kości, zawsze tkwicie w mej pamięci. Chwile takie wynagradzają sowicie za owe dnie spędzane od lat tylu wśród ludzi praktycznych, rozsądnych lecz zimnych jak stal — jak wszyscy nie swoi. Potrzeba i wrodzone usposobienie każą mi być jeszcze zimniejszym, zaciskać usta jeszcze energiczniej i wzbraniać im by nie wydały nigdy westchnienia lub zwierzeń. Łatwiej mi być zimnym i sztywnym przez dzień cały, gdy wiem że wieczorem będę mógł Wam się spowiadać z trosk moich, i że opowiadanie me wzbudzi może kiedyś współczucie w czytelniku. Nikt z was nie może żyć bez sympatyi, komu jej obecni odmawiają ten szuka jej w dalekich lub w przyszłości.

Ostatni dzień pobytu w Nowym Yorku poświęciłem odszukiwaniu kilku osób pochodzących z wschodniej Galicyi i znanych mi z imienia. Odkryłem pomiędzy nimi imiennika mego pochodzącego z tego samego miejsca gdzie i moja rodzina osiadła. Bóg mu poszczęścił w Ameryce, jak większej części pracowitych i przezornych ludzi, a chociaż czasami wzdycha za kątem rodzinnym nie ma zamiaru wracać do kraju. Jak wszyscy Europejczycy żyjący dłuższy czas w nowym świecie, tak i on przesiąkł życiem tutejszem i skończy dni swe na gościnnej tej ziemi.

Odszukując tych panów miałem dobrą sposobność poznać wygodny rozkład ulic Nowego Yorku. Te długie i proste Avenue, biegące równolegle z sobą i wyłożone szynami tramwajów dążą ku Broadway, ulice zaś ponumerowane przecinają je pod prostemi kątami. Nazwy ulic brzmią dziwnie dla nas, bo któż słyszał w Europie o czwartym lub piątym avenue, lub trzydziestej siódmej ulicy? Lecz jak to wygodny sposób nazywania! Pożywszy dni parę w Nowym Yorku i raz spojrzawszy na plan jego, wiesz iż jeżeli chcesz odwiedzić kogo w czterdziestej ulicy, to musisz minąć tyle bloków czyli kwadratów domami zabudowanych na wschód lub zachód, stosownie do miejsca w którem mieszkasz. Stojąc na ulicy dziesiątej wiesz dokładnie jak daleko do dwudziestej, bo wielkość Hoków a raczej pól szachownicy miejskiej jednaka.

Nazwiska ulic wypisują tu na latarniach narożnych, a tym sposobem w dzień czy w nocy napisy te uderzają oko przechodnia.

Wreszcie nadeszła chwila wyjazdu. Kilku współpodróżnych z Minesoty, udających się do Kaliforjni jechało jednym ze mną pociągiem.

Wzięliśmy jak już wspomniałem bilety na drugą czyli emigrancką klasę. Pociągi tej klasy opuszczają Nowy York tylko wieczorem, w innych pociągach amerykańskich istnieje tylko jedna klasa. Bilet mój kosztował z Nowego Yorku do Chicago 13 dolarów.

Umiejąc sobie zaradzić w mieście, nie udaliśmy się do Castlegarden, zkąd przepędzają wychodźców do dworca jak barany, lecz wprost pojechaliśmy na dworzec. Wytrzymano i nas tam przez parę godzin a siedząc bezczynnie, mogliśmy się przypatrzyć w jaki sposób oszuści Nowego Yorku wyzyskują cudzoziemców w skutek już to nieoględności przepisów, już to niedbałości służby miejskiej.

Pisałem już że sprzedają tu bilety nie tylko po dworcach, lecz i za pomocą agentów. Pośrednicy takowi dostają rabat od towarzystw kolei, których tu wielka liczba. Jest to oczywisty środek łapania pasażerów zanim hotel opuszczą. Nie jeden któryby chciał naprzykład pojechać drogą wiodącą na Zachód po nad Hudsonem i przez Niagarę, wpadnie w ręce pośrednika, kupi bilet na kolej idącą przez Pensylwanię. Nieznajomość języka i geografii cechująca większą część przybywających prostaków, ułatwia zręcznym agentom to wpychanie niewłaściwych biletów.

Nie dość na tem. Często namówią przybysza aby fałszywy bilet kupił, za cokolwiek niższą cenę. Łakomstwo i głupota mass tak wielkie, iż nie jeden cudzoziemiec cieszy się, gdy mu się uda nabyć kartę przejazdową o pół dolara taniej, dopiero gdy przybędzie na dworzec radość ta w smutek się zamienia. Nawet rozsądni ludzie wpadają czasami w łapkę taką i kupują bilety od osób niby upoważnionych do sprzedawania, których później trudniej odszukać jak wiatr w polu.

Otóż kilku tak oszukanych spotkaliśmy owego wieczoru na dworcu. Urzędnicy kolejowi tylko uśmiechali się szyderczo na ich żażalenia. Kto nie mógł opłacić po raz wtóry za przejazd musiał pozostać.

Za kufry dali nam miedziane numerowane tabliczki. Dwie takie tabliczki noszące jednaką liczbę tworzą całość i wiszą na rzemyku. Urzędnik odbierający rzeczy zdejmuje jednę z nich z rzemyka i oddaje podróżnemu, drugą zawiesza na kufrze. Przybywszy do kresu, podróżny wchodzi do dużej sali, w której stoją rzędy kufrów i odszukuje swego porównywając liczby znaczków. Wreszcie ruszył pociąg wprost przez ulice Nowego Yorku. Po szynach po których tramwaje krążą za dnia, puszczają tu w nocy kary kolejowe. W wielu mniej ludnych ulicach i w dzień biały ujrzysz pociąg idący zwolna. Ludzie i powozy muszą umykać z drogi, w skutek przyzwyczajenia zapewne nikt jednak nie sarka na ten niegodziwy przywilej towarzystw kolejowych.

Oczywiście iż puszczanie pociągów parowych przez środek ludnych stolic nie uprzyjemnia w nich pobytu. Często zatrzymuje długi szereg wagonów powozy i przechodniów, co staje się powodem znacznej straty czasu. Często muszą też wydarzać się wypadki, gdyż dziecię lub pijak nie tak łatwo mogą uciec przed lokomotywą. Wspomnieniach mych o Chicago obszerniej opiszę nieprzyjemności wynikające z tego zwyczaju.

Ruszyliśmy, i po godzinie jazdy pomiędzy domami wydostaliśmy się wreszcie za miasto. Noc była zimna lecz tak jasna iż mógłbyś czytać druk spory. Zapaliwszy dobry ogień w obu piecykach rozgościliśmy się dość wygodnie.

Nie spałem tej nocy. Po części nowy sposób podróżowania w powozach jak domy i ogrzanych, po części żądza ujrzenia krajobrazu odbierały chęć do snu. Około 10-tej w nocy, gdy kolej poczęła się wić nad brzegami Hudsonu, opuściłem wnętrze kara i stanąłem na rodzaju galeryi u końca jego, służącej dla konduktorów. Galerye te łączą kar z karem, konduktor może więc przejść od końca do końca pociągu. Wagon jego umieszczony na końcu pociągu i urządzony jak wygodna izba sypialna, służy mu do spoczynku w chwilach wolnych od zajęcia.

Zakazu stawania na owych galeryach, wypisanego dużemi literami, zupełnie nieuwzględniają w Ameryce. Każdy kto chce wychodzi z powozu i trzymając się poręczy, używa świeżego powietrza. Trzymać się jednak musi silnie, gdyż pociągi tutejsze, zatrzymują się i ruszają bez ostrzeżenia, biada zaś temu coby stał nie oparty. Przy zatrzymaniu się pociągów uderzają o siebie ogromne kary tak, iż wstrząśnienie wywołane zetknięciem z nóg zwali, a może z powozu wyrzucić nieuważnego podróżnego.

d. c. n.

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Londyn 1 Października.

Lord Ripon. — Przemówienie w parlamencie Wiliama Lawson. — Pomnik dla Dra Priestley, w Birmingham. — Statua Sir Tytusa Salt, dobroczyńcy ludzkości, w Bradford. — Lady Burdett-Coutts. Posiedzenie inżynierów-mechaników w Kardiff. — Wyprawa naukowa korwety Challenger. — Nowe Chicago. — Teatra. — Powieści.

Wakacye parlamentu trwają w najlepsze, a członkowie jego rozlecieli się w różne świata strony. Nigdy może jeszcze tak wiele nie rozprawiano o wojsku i uzbrojeniach, a ku końcowi sesyi o kościele panującym i bilu dyscyplinarnym, którego domagali się biskupi anglikańscy, gdy większość oponowała w imię wolności wyznań. Parlament o dni kilka przedłużył posiedzenia, które w końcu podobniejsze były do koncylium niż do obrad parlamentarnych. Głównym powodem tych rozpraw i popłochu, był margrabia de Ripon, jeden z najbogatszych członków arystokracyi liberalnej, który przeszedł na łono Kościoła Katolickiego. Ma on obecnie lat 47; odgrywał ważną rolę i piastował wysokie godności państwowe, najpierw jako wice-hrabia Goderich, a następnie jako hrabia Grey; tytuł margrabiego de Ripon był mu nadany w nagrodę usług jakie oddał Krajowi przy zawarciu traktatu Waszyngtońskiego w sprawie Alabamy. Wszedł do parlamentu jako radykalista, później jednak zmienił nieco swoje przekonania zostawszy pod-sekretarzem Stanu a następnie lordem prezydującym w gabinecie Gladstone'a. Od lat trzech piastował godność wielkiego mistrza wolnomularzy w Anglji, obecnie złożył ją z wielkiem żalem współstowarzyszonych, którzy postanowili dostojeństwo tak znakomite ofiarować Księciu Walljі. Odstępstwo to człowieka tak znakomitego i tak wielkie mającego wpływy, oburzyło niesłychanie jego współwyznawców, tym więcej że chodzą wieści mające pewną uzasadnioną podstawę, że kilku jeszcze znakomitych panów wraz z całemi rodzinami, poszło już lub zamierza pójść za jego przykładem.

Ze wszystkich tegorocznych posiedzeń parlamentu, jedno tylko było zabawne, na którem debatowano o przyłączeniu wysp Fidżi. Jeden z członków Izby, sir William Lawson, bardzo się sprzeciwiał przyjęciu podarunku, jaki monarcha tych wysp ofiarował królowej Wiktoryi, byle w zamian za koronę popłaciła jego długi. „Jakto! wołał z oburzeniem, więc chcecie Jej królewskiej Mości narzucić 150,000 dzikich poddanych, z których całe 20,000 mają *szkaradną wadę* ludożerstwa..." I zaczął kreślić przerażający obraz ludożerców." Pewien ze zna-

jomych missyonarzy opowiadał mi, że znał osobiście jednego ludożercę, który według własnego obliczenia, zjadł ni mniej ni więcej tylko 900 ludzi! Chcąc ich nawrócić na wiarę chrześcijańską i nakłonić do innego pożywienia, trzebaby duchownym poświęcającym się temu zadaniu, dodać do pomocy, tak liczną armiję jak ta którą wyprawiono przeciw Aszantom, i jeszcze w końcu przekonanoby się pewnie, że więcej byłoby zjedzonych metodystów niż nawróconych ludożerców: z takimi dzikiemi należy postępować jak Amerykanie z pokoleniem indyjskiem, z którego według ostatniego obliczenia, pozostał tylko jeden wódz, pięć koni i trzy kwarty wódki.“ Dalej przekłada szacownym kolegom, iż podobno lepiej byłoby gdyby zamiast szukać gdzieś po świecie dzikich w celu ich ucywilizowania, zająć się ucywilizowaniem pewnych klass ludności anglo-saksońskiej.„ Widząc, mówił dalej sir Liwson, że się tak troszczymy o ludożerców, mógłby ktoś pomyśleć że Anglija jest rajem ziemskim, w którym nic i niczego nam nie brakuje: ja jednak wierzyć temu nie mogę, wiedząc że mamy przeszło milijon nędzarzy i liczne więzienia zapchane przestępcami. Chcemy rozkrzewiać wiarę Chrystusa wśród pogan, a czyż potrzebuję mówić jakże to zachowujemy i wykonywamy ją u siebie. Pobieramy rocznie 30,000,000 funt: szterl: podatku trunkowego, stanowiącego niemal zachętę do picia, i jakiż użytek robimy z tej ogromnej summy? Oto obracamy ją na tworzenie żołnierzy i wyrabianie broni wojennej; mianujemy się chrześcijanami, a składamy cześć Marsowi i Bachusowi, bogom wojny i pijaństwa. Nie dość na tem, czyż mało jest ważnych i pilnych kwestyi, od dawna czekających rozwiązania, a parlament zamiast zająć się niemi, stracił pięć miesięcy czasu, rozprawiając o rytualistach, publikanach i pijakach?...

I tak cała długa mowa sir Wilfrida Lawson, wypowiedziana była w tym duchu i w tym stylu a *Times* przyznaje, że było to jedyne posiedzenie na którem członkowie parlamentu nie zasypiali i nie ziewali z nudów.

Na dwa dni przed zamknięciem posiedzeń parlamentu, mówcy po za parlamentarni mieli dwa razy sposobność przemówienia publicznie. W Birmingham miało miejsce uroczyste odkrycie pomnika wzniesionego na cześć doktora teologji Priestley. Jest to statua z marmuru włoskiego, przedstawiająca tego uczonego w stroju zeszłowiecznym, to jest w krótkich spodniach, w trzewikach ze sprzączkami, w mankietach i w peruce. Jakkolwiek duchowny, nie jest tu przedstawiony ani modlącym się ani błogosławiącym wiernych, tylko trzyma w prawej soczewkę mikroskopijną, której ognisko zwrócone jest ku małej rurce i naczyniu mającem zawierać merkuryusz. Uczony ten teolog nie zalecał się zbyt gorącą wiarą, nie troszczył się o życie przyszłe i o zbawienie swej duszy, i zwracał całą usilność swoją do zbadania pierwiastku doczesnego, materyalnego życia. Snycerz przedstawił go w postawie w jakiej przypuszczalnie musiał znajdować się w chwili, gdy ostatnie stanowcze doświadczenia dozwoliły mu rozłożyć zasady żywotne i określić gaz kwasoród.

Sto lat upłynęło od czasu jak dokonał tego odkrycia, a ośmdziesiąt od dnia jak został wygnany z Birmingham i prawie ukamienowany, nie jako alchemik, astrolog lub czarownik, co w wiekach średnich mogłoby już największe ściągnąć nań prześladowanie, ale jako bezbożnik i heretyk w obec kościoła anglikańskiego, i jako rewolucyonista pod względem przekonań religijnych.

Priestley był pastorem kongregacyi unitarnej, i niekiedy nie z wielkiem uszanowaniem wyrażał się o kościele legalnym, a unosił się zawsze nad rewolucyą francuzką, z 1789 zanim rok 1793 rozproszył jego złudzenia. Przy odsłonięciu pomnika, mowę uroczystą wypowiedział znany professor Kuxley; skreślił bardzo zajmująco cały życiorys Priestley'a jego prace i odkrycia. Priestley umarł w roku 1804.

W tymże dniu gdy Birmingham uczcił zasługi uczonego prześladowanego za życia, Bradford witało z uniesieniem pomnik wzniesiony na cześć żyjącego dotąd dobroczyńcy ludzkości, Tytusa Salt który opierał się jak mógł temu hołdowi na który tak bardzo zasłużył.

Sir Tytus Salt jest to człowiek nadzwyczaj zacny i dobroczynny, cały swój majątek obraca na cele filantropijne, a głównie na szerzenie oświaty; założył kilka szkół w których uczniowie darmo pobierają nauki, otwiera publiczne biblioteki, zakłady miłosierne i t. p. To też cała ludność okoliczna otacza go niewymowną czcią i miłością, i mimo jego oporu, wystawiono mu wspaniały pomnik.

Trzeba przyznać że Anglija szczęśliwa jest pod tym względem, iż nie brak jej ludzi zacnych i rozumnych, umiejących bardzo szlachetnie używać wielkich majątków swoich. Do takich należy lady Burdett-Coutts która także uposażyła już bardzo wiele zakładów dobroczynnych i coraz na nowe dostarcza funduszów.

Pewna liczba osób dobrej woli umyśliła wspólnemi siłami założyć szkołę uczni marynarki; admiralicya oddała na ten cel fregatę *Arelhuse* a lady Burdett-Coutts, odpowiadając na wezwanie wyznaczonego komitetu, przesłała na ten cel 30,000 rs. Jeszcze w r. 1867, założono pierwszą taką szkołę na okręcie *Chichester*, stojącym na kotwicy na Tamizie między Grawesend i Erith; tam corocznie pobiera naukę 214 opuszczonych chłopców, zbieranych po ulicach, zwanych tu„ Beduinami ulicznemi“ a po skończonym kursie dobijają się o nich kapitanowie okrętów kupieckich, skąd najczęściej przechodzą do służby rządowej i odznaczają się wzorowem prowadzeniem.

d. c. n.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ.
(Ustęp z dzieła Konstantego Petrowa p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVII.

Literatura tegoczesna,

(Ciąg dalszy).

Dziś, kiedy nauka i sposób pisania historyi, tak wielkie uczynił postępy; dzieło Karamzina nie wytrzymało by poważnej krytyki, gdyż zgodnie z pojęciami ówczesnemi napisał historyę monarchów a nie ludu rossyjskiego, którym bynajmniej się nie zajmował. W obrazach i opowiadaniach zwracał głównie uwagę na styl i wykończoną formę. Krytyka tegoczesna zupełnie inny sąd wydaje o tej pracy Karamzina, niż jego współcześni, którzy czytali ją z wielkim zapałem. Wielu późniejszych poetów, czytając Historyę Karamzina, zaczerpnęli z niej natchnienie do utworów swoich, do ich liczby należy sam nawet Puszkin, który powziął myśl do swego dramatu *Borys Godunow.*

Za pomocą swoich listów, zbiorów i wydawanych dzienników, Karamzin rozpowszechniał w wyższej klassie społeczeństwa zamiłowanie czytania i nadobnej literatury: miał bardzo trafne pojęcia o sztuce, zalecał przedewszystkiem malarstwo charakterystyczne i rozbudzanie poczucia narodowości.

Treść listów jego jest bardzo rozmaita, dająca poznać że autor ich jest człowiek rozumny, lubiący nauki i sztuki, a w dziennikach i zbiorach swoich zamieszczał artykuły krytyczne dowodzące dobrego poglądu i zdrowego sądu.

Pod względem reformy i rozwoju języka, Karamzin był godnym następcą Łomonosowa. Listy jego i nowelle są wzorem lekkiego i potoczystego stylu, który zawdzięczał czytaniu dzieł francuzkich i angielskich. Okresy jego są zwięzłe, periody krótsze niż u Łomonosowa, a ich szyk i budowa więcej odpowiadają duchowi języka rossyjskiego, który zresztą wzbogacił się już wówczas przyswojeniem wielu nowych obcych wyrażeń, szczególniej odnośnie do filozofji, historyi i sztuk pięknych. Obok tego i Karamzin wprowadził w użycie wiele wyrażeń zaczerpniętych z dawnych kronik.

Temu wprowadzeniu nowych wyrażeń bardzo był przeciwny Szyszkow, przedstawiciel słowianofilów, i wtym celu wydał dziełko w roku 1803 p. t. *Starożytny i tegoczesny język rossyjski.* Oburzony takiem wprowadzaniem nowo-ukutych wyrażeń, chciał wyrazy cudzoziemskie zastąpić odpowiedniemi słowami słowiańskiemi lub przynajmniej słowiańskiego pochodzenia—było to zadanie dość trudne i nie zupełnie się powiodło. Po dziś dzień nie zapomniano *manifestów* Tzyszkowa z 1812 r. oprócz tego tłomaczył *Bibliotekę dziecinną* p. Campe.

Karamzin ma tę wielką zasługę że tak jako historyk jako też i pisarz przyczynił się wielce do rozszerzenia zdrowych pojęć moralnych, i zamiłowania narodowej literatury.

Inni pisarze tej epoki naśladowali Dzierżawina; pisali nadęte poemata, napuszone ody, tragedije w rodzaju francuzkich, i panegieryki w guście Łomonosowa — było jednak kilku utalentowanych więcej, którzy odznaczali się prostotą i prawdziwem uczuciem. Największą popularnością cieszyły się piosenki Dmitriew'a i Merliakowa.

Pomimo swojej formy pseudo - klassycznej, tragedye Ożerow'a są osnute na tle życia rossyjskiego, jak np. *Dymitry Donskoj* i zdradzają pewien talent analistyczny. Jednak ogół czytelników ubiegał się głównie za książkami romansowemi, nie zadawalniał bynajmniej utworami piśmiennictwa rossyjskiego, i dla tego tłómaczono na język rossyjski romanse i nowelle Marmontel'a, Florian'a, a pani de Genlis, *Nową Heloizę* Roussau'a *Pawla i Wirginię* Bernarda de St - Pierre, i w. i.

Ta sentymentalność, łatwa do pojęcia w narodzie który zaledwie zaczynał budzić się do życia umysłowego, zaczęła ustępować innym dążnościom, jednak dość długo jeszcze miała swoich zwolenników i protektorów, a jednym z ostatnich był współczesny Puszkina, książę Szalikow, przeciw któremu krytycy zwrócili ostre swe pióra.

Satyra w tej epoce nader słabo była przedstawioną. Obok satyrycznej sztuki Dmitriewa *Duch autorów,* zwróconej przeciw jałowym lirykom, do których i samego autora zaliczyćby należało, jego bajek i powieści które zalecają się jedynie pięknym i obrazowym stylem, mogą większą zwrócić uwagę komedye Szachowskoj'a, wykazujące kłopotliwe życie właścicieli, oraz bajki Izmajłow'a, przedstawiające jak nęda i ciemnota może doprowadzić do złego.

d. c. n.

SŁÓWKO
O TEGOCZESNÉJ POEZYI WŁOSKIÉJ

PRZEZ

Joannę Belejowską.

II.

Poeci włoscy od czasu niepodległości półwyspu.

(Ciąg dalszy.)

Z politycznych poezyi piękne są bardzo napisane na cześć Manina i Cavour'a; ostatnia odznacza się głębokiem uczuciem miłości ojczyzny. Po pięknym zwrocie do tego polityka, tak zręcznego a zarazem tak sympatycznego, do tego twórcy Włoch zjednoczonych i konstytucyjnych, głębokie westchnienie ulata z piersi poety, i raczej wyszeptał niż wypowiedział, te ostatnie wiersze:

„Ale nie pytaj o więcej! Nie pytaj ukochanych Włochów twoich o stoczone potyczki, nie pytaj na jakich polach spotykali się z hufcami nieprzyjacielskiemi, na jakich morzach odznaczały się ich floty admirałowe... Nie patrz na ich czoła w chęci zobaczenia zdobiących je laurów..."

Dalej! odwracając myśl od smutnych wspomnień z pod Custozza Lissa i Mentana, wylicza wielkie usługi jakie oddał ojczyźnie nieśmiertelny minister piemoncki, a których rozciągłość Zanella pojmuje doskonale, jak tego dowodzi wzmianka o wyprawie Garibaldiego do Sycylji:

„Gdy garstka owa płynęła ku tym brzegom, w których łonie płoną ognie Etny, potężna prawica twoja kierowała i podtrzymywała tajemnie na falach, ich wątłe a śmiałe łodzie..."

Lecz im genialniejszym był Cavour, tem większą i nieodżałowaną stratą dla Włoch była śmierć jego przedwczesna: tylko tak silna a zarazem lekka i ukochana dłoń, mogła trzymać na wodzy nowo wyłaniające się stronnictwa; to też poeta miotany zarazem obawą i nadzieją tak kończy swój poemat.

O zgubne plemię, które wyrodziło się aby nie zginąć nigdy! „O ludu! który potrafiłeś stać wśród ruin swoich i ozdobić skronie nieśmiertelną opaską! Większy od wieków i od nieszczęść twoich, jeźli nie możesz dziś jak niegdyś rządzić całym światem, pokaż przynajmniej że umiesz się sam rządzić!"

Tak ten wiersz na cześć Cavour'a, jak i wszystkie zresztą najmniej liczne jego poezye polityczne tę wielką mają zaletę, że obok zapału i prześlicznej formy, odznaczają się wielkiem umiarkowaniem, przez co chętnie są czytane przez ludzi uczciwych wszelkich opinji. Zanella jest z przekonania rojalistą, ale przedewszystkiem kocha ojczyznę swoją całem sercem i szczerze pragnie szczęścia Włoch, i dla tego nie potępia nieodwołalnie żadnego stronnictwa, jeźli tylko kieruje niem przekonanie a nie widoki osobiste.

Całemu zbiorowi utworów poetycznych Kapłana-poety nic w ogóle zarzucić nie można, a niektóre sonety jak n. p. *Ad un ruscello* (Do strumienia) i elegija *Voci segrete* (tajemne głosy) są prawdziwemi arcydziełami. Sonet ten mógłby śmiało podpisać Petrarka, a *Voci segrete* jest to rzewna i tęskna *Medytacya*, przypominająca młodzieńcze utwory Lamartine'a, tylko że więcej w niej życia i siły.

H. Zanella przełożył także wierszem na język włoski wielu obcych poetów, i w ogóle jest on jednym z najcelniejszych i najsympatyczniejszym ze współczesnych poetów włoskich.

Sycylija długie lata zostawała pod tak ciężkiem jarzmem przygniatającem jej rozwój umysłowy, iż musiało ono oddziałać smutnie na przytępienie wrodzonego jej synom geniuszu; a jednak mimo to może się pochlubić dość licznym zastępem poetów, tylko że wszystkie prawie ich utwory, nacechowane są jakąś rzewną smętnością. Najsławniejszym poetą lirycznym sycylijskim jest bez zaprzeczenia p. Feliks Bisazza, lecz że utwory jego należą do uprzedniej epoki, przeto nie będziemy tu mówić o nich, i rozpoczniemy nasz przegląd od najsławniejszego z współczesnych poetów, który podwójnym charakterem swych pieni, przypomina zarazem nieśmiertelną plejadę grecko-sycylijską, i surowych klassyków.

Guiseppe Spuches, (Książe Galati) jest zarazem poetą i antykwaryuszem, co jest powodem że ilekroć przedmiot do tego się nadaje, grzeszy zbytnią niekiedy dosadnością miejscowego kolorytu i zbyt szczegółowo rozwodzi się nad nim. Do tej kategoryi zaliczyć trzeba niektóre z najpiękniejszych lirycznych utworów autora, a szczególnie dwie piękne ody: *Il sesto centenaris di Dante* (Na 600 letnią rocznicę Danta) *i Cavour e l'Italia* (Cavour i Włochy.) Pierwszy z tych utworów kończy się piękną bardzo strofą, która stylem i natchnieniem przypomina poetę tebajskiego, zaś oda do Cavour'a nacechowana jest wzniosłą wspaniałością Pindara. Lecz z drugiej strony za nadto czuć się w niej daje współudział antykwaryusza, przez co cały ten piękny utwór zakrawa na tłomaczenie lub przynajmniej na zręczne naśladownictwo i kompilacyę starożytnego jakiegoś dzieła. Mimo to jednak miejscami przebija narodowy patryotyzm włoski, czytelnik czuje że to obywatel wyswobodzonej Sycylji woła wzruszonym głosem:

„O! nie trzeba aby Santena lub Superga(*) zaszczycone były posiadaniem popiołów twoich, wielki obywatelu! najznakomitszy z naszych współczesnych mężów.

„Niech współudział całego narodu wzniesie ci wspaniały mauzoleum w Santa-Croce, a na pogrobowym marmurze niech wyryją te słowa:

„Włochy poświęcają ten pomnik wielkiemu obywatelowi który potrafił je wyswobodzić, i świetne marzenie w wspaniałą zamienić rzeczywistość."

Z mniejszych utworów Józefa Spuches, odznacza się *Oda do Sycylji* oraz kilka pięknych sonetów i elegji; lecz głównym tytułem do uzyskanej sławy, są dwa obszerne jego poematy *Gualterio, nowella sycylijska z trzynastego stulecia*, i *Adela Burgundzka*.

Pierwszy utwór składa się z sześciu pieśni opisujących okropną, tragicznie kończącą się historyę. Nie można zaprzeczyć, że utwór ten dosyć zaciekawia, ale traktuje przedmiot tak czysto miejscowy, iż tylko Sycylijanie właściwie ocenić go mogą. Poemat *Adela Burgundzka* składa się z siedmnastu pieśni; jest to dosadny i posępny obraz Włoch w dziesiątym wieku, krwawy i przerażający dramat w którym bardzo mało znajdujemy sympatycznych postaci, a sceny żałoby i pożogi nieustannie przesuwają się przed oczami czytelnika. Autor skrupulatnie trzyma się prawdy historycznej; lecz zarzucić mu trzeba że wprowadza do poematu swego takich ludzi jak król Berenger i jego wspólnicy, którzy niegodni są nawet wspomnienia; czyż mało znalazłby w dziejach narodowych przedmiotów godniejszych jego talentu? Jednak mimo ciemnego miejscami i nieco naciąganego stylu, cały utwór nacechowany jest wielkim talentem i piękną przyszłość rokuje autorowi.

(d. n.)

(*) Santena jest miejscem urodzenia hr. Cavour'a, a w Superga spoczywają zwłoki królów sardyńskich.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Karolowi W. w Łyszczycach. Wakcynę owczą sprowadzają zapewne weterynarze trudniący się jej zaszczepianiem, szkoda zatem, że za bytnością w Warszawie na Wystawie, nie ściągnął Pan od nich odpowiednich wiadomości. Postaramy się jednak dowiedzieć o tem szczegółowo.

Doniesienie.

— Nakładem wydawnictwa dzieł katolickich D-ra Władysława Miłkowskiego w Krakowie, wyszło świeżo znakomite i pożądane w naszej literaturze dzieło znanego myśliciela D-ra Alberta **Stoeckl'a**, profesora zwyczajnego filozofii na akademii w Eichsztecie, pod napisem: **„Logika."** Z drugiego wydania oryginału niemieckiego przełożył Dr Władysław Miłkowski za upoważnieniem autora. W przedmowie dziękuje tłomacz prof. D-rowi Józefowi Kremerowi za rady, jakich mu tenże udzielał co do terminologii polskiej. Spodziewać się więc należy, że i pod tym względem **„Logika"** D-ra Stoeckla znajdzie uznanie myślących czytelników. Dzieło obejmuje str. X i 207, a kosztuje rs. 1 k. 50. Wydanie bardzo staranne.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, i arkusz z krojami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.